PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 3. *Warszawa, 17 stycznia 1914.* Widok 3.

TREŚĆ: Podwójny kordon. — Echa Prawdy. — J. TARCZEWSKI: Galwanizowanie konserwatyzmu. — J. KADEN: Kronika krakowska. — CZESŁAW JANKOWSKI: Osaczeni. — ST. BRZOZOWSKI: Książka o starej kobiecie. — K. WROCZYŃSKI: Z poza kurtyny. — A. S. Skry. — M. J. WALEWSKA (Hr. Wielopolska): Nieco o jutrze krytyki. — Książki nadesłane do Redakcji.

Podwójny kordon.

I.

Żyjemy za podwojnym kordonem. Dwie opasują nas obręcze. Ogół wie tylko o jednej; lecz cisną go — obie.

Pierwsza jest widzialna i posiada swe miejsce w przestrzeni: biegnie śladem granicy, która nas przedziela od Europy, wije się zygzakiem wzdłuż ustaw wyjątkowych, zakazów, ograniczeń wszelkiego rodzaju i prawem obwarowanych upośledzeń. Obręcz druga nie jest umiejscowiona ściśle w żadnym punkcie przestrzeni: ciśnie nas od wewnątrz. Wżera się w organizm naszego ducha. Kręgiem zamkniętym obejmuje i ściska nasze myśli.

Kordon pierwszy sprawia, że o najważniejszych rzeczach wcale nie mówimy.

Kordon drugi sprawia, że w wielu mniej doniosłych sprawach musimy sami sobie kłamać.

Milczenie albo kłamstwo: między tymi dwiema przepaściami znaleźć ścieżynę ratunku, — jakiż to straszny los!

II.

Codzień wychodzi w Warszawie kilkadziesiąt pism; codzień, rano i wieczorem, kilkaset piór napełnia gwarem miasto i kraj cały; żąda dla się uwagi, nawołuje, wzywa dokądś, tłomaczy coś, czemuś zapobiega... Fałsz tego gwaru polega na tym, że stale, codziennie czemuś tam zapobiegając, nigdy jeszcze w porę nie zapobiegł niczemu. Codzień rozlega się ów chór, wywołując szersze lub ciaśniejsze echa... Publiczność skwapliwiej lub mniej skwapliwie nadstawia ucha wiadomościom, i ponieważ wiadomości są coraz lotniejsze, coraz kruchsze, więc upomina się o bieg ich coraz szybszy, o zmianę coraz zawrotniejszą! Maluczko, a znajdziemy się wszyscy w iluzjonie. Maluczko! a przestaniemy być narodem; staniemy się już tylko — publicznością!

III.

— Jesteśmy rozbici, zwyciężeni, okryci ranami, chorzy. Okrucieństwa trzeba, aby ludziom chorym mówić w oczy prawdę: któż na tę okrutną odwagę się zdobędzie? — tak same siebie pytają serca z rozpaczone własną litością i — przez litość dla narodu milczą, i przez litość dla narodu kłamią!

A przecież aktem swej litości — świadomie czy nieświadomie — stawią oni już cały naród nasz pod wyrokiem zagłady; dbają już tylko o to, aby trumnę dlań wybić atłasem serdecznej tkliwości...

Nie! nie! raczej brutalne dotknięcie żelaza, raczej morderczy ogień, niż ta tkliwa przedgrobna pieczołowitość!...

Ponad chórem milczenia i wbrew chórowi kłamstwa wznosimy swój «bezlitosny» głos przeciwko złudzie, że warto jest w chwili obecnej mówić o czymkolwiek, co się mówi dokoła nas; że warto jest myśleć o czymkolwiek z tego, co się na krosnach myśli powszechnej przędzie, aby — w rzeczywistości— niebezpieczeństwo wszelkiej myśli zażegnać.

IV.

Debatujemy nad sprawą samorządu; debatowaliśmy nad sprawą sieci szkolnej; debatować będziemy nad sprawą parcelacji; igraszki zielonego balonika! Jeśli chodzi o znaczenie debatów takich kształcące, to istotnie trzeba im przyznać pewną użytkową rolę; wszelako radość z odniesionego pożytku niechaj nas nie zwodzi poczuciem, że my w drobnej bodaj części na sprawy te w obecnych warunkach politycznych możemy wpływać! Dyskutujmy, lecz nie łudźmy się, że cokolwiek będziemy rozstrzygać. Toczmy rozprawy: lecz wiedzmy, że postanowienia za nas powezmą inni! Oto jest rzeczywistość w swej nagiej, okrutnej postaci. Kto ją obleka w szaty marzenia lub kłamstwa, ten rzeczywistość przerabia na kołysankę.

I kołysanką, w olbrzymi chór kilkuset głosów zaklętą, jest z małymi wyjątkami cała prasa Królestwa. Z reguły rzec można, że każdą niemal kwestję porusza w tym celu, aby stłumić dziesięć kwestji innych. Gruntu rzeczywistości polskiej dotyka tylko po to, aby się odeń odbić — w powietrze.

Kołysanką brzmi w uszach naszych hasło walki z Żydami, gdy go się używa celem zakneblowania ust wszystkim skargom i jękom ziemi polskiej. Kołysanką są ranne i wieczorne edycje dzienników, udzielających nagany cesarzowi Niemiec lub cesarzowi Austrji, biorących w opiekę flotę Anglji, lub spowiadających z tajemnych zamierzeń mściwości Enver-beja: wszystkie te zainteresowania są zabawą dla tępienia czasu, wszystkie dotyczą rzeczy, za których układ i przebieg nie dano nam brać odpowiedzialności. Ogół pod naciskiem naglących podszeptów prasy bierze do serca losy Meksyku, Trypolitanji lub Madagaskaru, przywykając do rostrzygania wszelkich spraw «w zasadzie», t. j. w sposób nikogo zgoła nie obowiązujący, poza życiowy; ogół czyta, przewiduje, doradza, — wmawiając w siebie, że płynie z prądem nowoczesność, że oddycha rytmem najświeższej fali wypadków... Kołysanką bywają wszelkie jubileusze i uniesienia; wszelkie protesty i żałoby; wszelkie *sursum corda* i anatemy. «Kurjer Warszawski» rozdziera szaty z bólu że w Galicji «Daszyńskiemu obelgi na naród polski przechodzą bezkarnie»: nie wierzcie w ten ból! nie wierzcie, iż «Kurjer» naprawdę chce Daszyńskiego karać! To tylko pan Koskowski gra na fujarce narodowi swemu rzewną kołysankę. Korzysta z kordonu jednego, by wznieść kordon drugi.

«Gazeta Warszawska» śpiewa hymn wesela na cześć pozyskanych swobód: «od kilku lat zyskaliśmy, — powiada — możność realnej działalności politycznej w państwie rosyjskim». «Gazeta Warszawska» wie, że od kilku lat nie zyskaliśmy nic w państwie rosyjskim, utraciliśmy natomiast bardzo wiele: utraciliśmy szmat ziemi, utraciliśmy redutę polskiej szkoły początkowej, nadzieję samorządu, niezależność szkoły średniej. Ale nie o to chodzi. «Gazeta Warszawska» bynajmniej nie miała zsmiaru tak czelnie zadrwić z niedoli rodaków. Ona tylko pragnęła uderzyć w cymbały i wygrać na nich kołysankę. Jeszcze jedną kołysankę, na wypadek, gdyby ogółowi nie wystarczyły wrażenia z sali sądowej, tańce egzotyczne i kinematografy. Gdzieindziej dzieje się tak, że nawet iluzjony służą polityce, u nas polityka służy — iluzjonom.

V.

Żyjemy za podwójnym kordonem. O tym zapominać nie powinniśmy ani na chwilę. Kordon pierwszy tworzy dokoła nas pustkę. Kordon drugi zaludnia tę pustkę fantasmagorją.

By dotrzeć do źródeł bytu, do źródła sił, do źródeł odrodzenia, przedrzeć się musimy skroś podwójną zaporę: poprzez martwotę pustki i poprzez gwary fałszu.

Drzazgi.

Charakter ludzi teraźniejszych: chcieliby czynu, nie chcą jego następstw; chcieliby podbojów, lecz nie chcą ofiar; chcą rewolucji, ale — bez krwi rozlewu; pragną miłości, lecz nie chcą — potomstwa.

Echa Prawdy.

I. Ronikierjada. II. Gniew zazdrosnego konkurenta.

I. Warszawa, a wraz z nią, całe Królestwo Polskie wysłuchało z bijącym sercem wyroku na hr. Ronikiera, który jest w chwili obecnej osobą najpopularniejszą w kraju. Któż jest bardziej nadeń znany? Któż więcej odeń pochłonął uwagi, pamięci, pomysłowości i wyobraźni? Niewątpliwa to zasługa prasy codziennej, że życiorys Ronikiera znany nam jest lepiej, niż życiorysy najznakomitszych mężów. Dzięki prasie, Ronikier rozrósł się do znaczenia problematu społecznego. W imię Ronikiera przelano tyle myśli i tyle uczuć, że przestał on być jednostką, stał się natomiast k w e s t j ą, stał się pozycją, stał się kątem widzenia, pod którym omal nie jęto rozpatrywać... wojny bałkańskiej.

Oto jest wpływ ołowianej powietrzni, która nad nami ciąży, która nas odcina od wszelkich zagadnień istotnych: energja zbiorowa, nie znajdując dla siebie ujścia w kierunkach pracy twórczej, idzie na łup urojeń, idzie na łup zagadnień fikcyjnych: łudzi się, mianowicie, przeświadczeniem, iż biorąc udział gorący w procesach sądowych, sprawuje jakąś kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości, czuwa nad nim, nie wypuszcza z rąk przysługującej sobie roli. Dzienniki chętnie tę złudę powszechną utrwalają, podsuwając sądowi coraz nowych świadków, coraz nowe hypotezy i poszlaki zbrodni, każąc się cieszyć narodowi, gdy świadkowie zostaną wysłuchani, gdy hypotezy zostaną uwzględnione.

Przykre i opłakane tryumfy! Do takich-ż to tryumfów jest powołana prasa? Cóż z tego, że świadek stanie przed sądem z nowymi informacjami? Czyż złoży je w świeżej, czystej postaci? W języku, którym myśli i czuje? Oto pytania, które przedewszystkim powinnaby podjąć prasa, śledząca kronikę sądową. Nie mamy zaufania do przekładów, czynionych z obcej literatury. Zależy nam na tym, aby Dostojewskiego lub Andrejewa czytać w oryginałach. A przecież przekłady owe robią nieraz wytrawni literaci i językoznawcy! Sąd nie może mieć w swoim gronie ani subtelnych artystów, ani wytrawnych uczonych: poprzestaje na zgruba ciosanych przekładaniach urzędnika, na protokułach, sporządzanych sumiennie, ale zawsze zawierających ten stopień dowolności, jaki tkwi w przekładzie jednego języka na drugi. Prasa, jeśli chce być nietylko zastępczynią detektywów, ale organem służby publicznej, powinna te elementarne warunki słusznego wymiaru sprawiedliwości podnosić przy każdej okazji. Powinna wyjaśnić, że między sumieniem świadka a uchem sędziego leży grubość słownika, grubość, wyłączająca wszelką bezpośredniość zrozumienia. Że kultura dzisiejsza większą zachowuje dbałość tam, gdzie chodzi o wrażenie estetyczne, niż tam, gdzie chodzi o los człowieka. Powieść sądzi się na podstawie oryginałów. Człowieka sądzi się na podstawie przekładów. Trudno, doprawdy, uwierzyć, że nikt ze sprawozdawców dziennikarskich tej przeciwstawności nie dostrzegł.

II. Otchłani brudów, jakie wyszły na jaw w Galicji z powodu zatargu Długosza ze Stapińskim, nikt z takim nie odmalował smakoszostwem, z taką znajomością rzeczy, jak organ pana Dmowskiego: *Gazeta Warszawska*. Ileż odcieni, ile soczystych świeżych barw zabłysło na łamach *Gazety*, gdy jęła odtwarzać wizerunek moralny skompromitowanego posła!

I nic dziwnego: tworzywo do charakterystyki Stapińskiego miał pan Dmowski pod ręką; nie potrzebował sięgać po nie daleko. Brał poprostu barwy do malowidła ze swoich osobistych przeżyć. By dać portret Stapińskiego, wódz endecj napisał jeden rozdział z własnego życia. Stapiński brał «na prawo i na lewo»? — Pan Dmowski także brał. Różnica między nimi zachodzi może w tym tylko, że Stapiński czekał aż m dadzą; pan Dmowski był pod tym względem niecierpliwszy: gdy mu nie dawano, grabił. W ciągu lat kilku załatwił się tak gracko ze Skarbem Narodowym, że z kilkuset tysięcy nie zostało ani grosza. Przyznajemy, że pan Dmowski był graczem na większą skalę: brał krociami tysięcy, gdy tymczasem Stapiński poprzestawał na tysiącach. Pan Dmowski zgarnął z ołtarza ojczyzny grosz wdowi, przez naród latami tam składany; Stapiński czerpał tylko — z kieszeni prywatnej. Obaj wszakże brali tyle, ile się dało; i obaj, jak mówią, brali na cele nie osobiste, lecz partyjne.

By zużyć cały zasób swego materjału autobiograficznego p. Dmowski stawił posłowi galicyjskiemu zarzut, iż kumał się z rządem centralnym, ofiarując usługi swe ministrom austrjackim. Jak się to robi, p. Dmowski wie doskonale, gdyż sam uprzednio w służbie tej praktykował, pukając wielekroć do drzwi ministerjalnych w Petersburgu, w okresie rządów Wittego. Lecz w takim razie skądże pochodzi gniew pana Dmowskiego? Skąd tyle oburzenia? Czyżby to było oburzenie zazdrości? Czyżby gniew zagrożonego konkurenta?...

J. TARCZEWSKI.

Galwanizowanie konserwatyzmu.

Pan Jan Lutosławski postanowił sobie pchnąć nasze ziemiaństwo na drogę szerokiej akcji politycznej, dla której nakreślił lekki szkic programu, zawarty w osobno wydanej broszurze.

Punktem wyjścia jego wywodów jest fakt, że nasi sąsiedzi z Zachodu i Wschodu prowadzą na wielką skalę politykę agrarną, że reformy rolne są na porządku dziennym również i w Anglji, zapewne i Francja nie zaśpi gruszek w popiele — przeto wstydem byłoby dla Towarzystwa rolniczego centralnego, gdyby i ono także nie poszło za przykładem innych wielkich mocarstw i do stworzenia własnej polityki rolnej nie przystąpiło.

Jak widzimy, istnieje dość namacalny błąd już w samem założeniu. Conajmniej trochę fantastycznem złudzeniem tłomaczyć można porównanie akcji państw uzbrojonych własnem prawodawstwem, własnym bogatym budżetem i władzą wykonawczą, z robotą koła ziemian zmuszonych w każdem swem przedsięwzięciu stosować się ściśle do wązkich ram, w które ich działalność wtłoczono. Jest tu także — świadome czy nieświadome — pomijanie bijącego w oczy faktu, że nasi sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu prowadzą politykę agrarną nietylko u siebie, lecz i u nas, nie tylko nie licząc się z Polakami i intencjami polskich agrarjuszy, lecz świadomie je krzyżując.

Gdy chodzi o blizkie nam stosunki, to niewątpliwie przyznać trzeba, że o pełnej swobodzie działania także nie można mówić. Jakże dawno Towarzystwo Kredytowo ziemskie daremnie usiłowało zdobyć prawo lokowania swych kapitałów na drobnej własności! Przywilej ten zarezerwowano dla Banku włościańskiego i zdaje się, że niema nadziei, aby akcję parcelacyjną mogła prowadzić w jego zastępstwie, lub obok niego jakaś inna finansowa instytucja. — Gdyby dążeniem agrarjuszów naszych było usunięcie tego monopolu, gdyby dążenie to miało widoki realizacji, wówczas możnaby mówić o naszej własnej polityce agrarnej i należałoby radośnie powitać jej narodziny. Trudno jednak wyobrazić sobie, aby plany pana Lutosławskiego sięgały tak daleko i tak mało liczyły się z istniejącymi warunkami. Wbrew treści pierwszych rozdziałów jego książeczki poświęconych opisowi reform rolnych w Rosji i Niemczech, zapowiadających jakoby jakąś swojską kopję tych wzorów — ostatnie kartki świadczą, że chodziło mu o coś zupełnie odmiennego.

Parcelację rozwijająca się u nas żywiołowo — nazywa on nie bez racji „parcelacją dziką". Jeżeli chce ją zastąpić parcelacją planową, to bynajmniej nie ma na myśli usunięcia czynników krępujących ją z zewnątrz, lecz zwalczanie od wewnątrz tej resztki wolności, która jej się rozrastać pozwala. Rozdrobnienie własności rolnej przenosi władanie ziemią od klasy szlacheckiej do klasy włościańskiej. Na tem tle powstają wśród ludu dążenia emancypacyjne, w których autor widzi ogromne niebezpieczeństwo dla „narodu", czyli dla szlachty. Nie, powinna ona żadną miarą wypuszczać ludu ze swej opieki: „bo oni sami sobie" przyszłość rzekomo budują, ale nam, narodowi, a więc i sobie samym zgubę przyniosą, polegającj edynie na swych słabych siłach, a broń Boże nie dając do garnków swoich zaglądać reszcie narodu, którą od wszelkiej przyszłości odsądzają".

W jakiej postaci przedstawia się autorowi ta „zguba narodu" — którą ludowcy nań ściągnąć mogą, tego ani jednem słowem nie objaśnia, zarówno jak nie uzasadnia potrzeby oparcia „słabej siły" chłopów o potęgę szlachty. W innych bowiem ustępach przyznaje, że „lud wiejski utrzymuje ziemię, jak dotąd przynajmniej, umiejętniej i wytrwalej od ziemiaństwa oświeconego", że utrzymanie ziemi zawisło „w przerażającej mierze od sprawności zawodowej i postępu kulturalnego ludu wiejskiego", — że natomiast ogół ziemiaństwa „grzeszy opieszałością w pracy kółkowej Tow. Centralnego" i woli całkiem zdawać ją na instruktorów, niż bezpośrednio czas swój kółkom poświęcać.

Mimo tej notorycznej obojętności, opieszałości, łatwości pozbywania się ziemi, a zatem albo lekkomyślności albo nieumiejętności — zamożnego ziemiaństwa — pan Lutosławski twierdzi, że „należy mu się czynniejsza rola w życiu narodu", oraz, że „długo jeszcze lud polski kierunku odpowiedzialnego „starszej braci potrzebować będzie". Na co? — pytamy, czy na to, aby i on „z pożałowania godną łatwością" zaczął się ziemi pozbywać, by jej przykładem pracę w kółkach lekceważyć się uczył? zjawiskiem parcelacji przestał się interesować — słowem, przejął się tym brakiem powagi w traktowaniu spraw publicznych, jakie autor u obywatelstwa ziemskiego stwierdził?

Czynna rola w narodzie należy się tylko temu, kto do niej okazuje się zdolnym i skłonnym; opieszałość i obojętność są tu jaknajgorszą kwalifikacją. Możnaby tedy conajwyżej powiedziedzieć, że narodowi należy się ze strony ziemiaństwa czynniejszy udział w jego wysiłkach i znojach, ludowi pomoc w jego dążeniu

do oświaty i dobrobytu. Z tego punktu widzenia jednak nie możnaby potępiać samodzielnego dążenia ludu do uspołecznienia i oświecenia się — bez oglądania się na starszych ale opieszałych i obojętnych braci. Pana Lutosławskiego jednak gniewa to i przeraża, że lud nie czeka, aż jego nawoływania skutek odniosą i zmobilizują niezbędnych dla utrzymania go na dobrej drodze opiekunów.

Nie dobro ludu jest dla niego zasadniczym punktem programu, lecz utrzymanie nad nim wpływu klasy ziemiańskiej i zapobieganie emancypacji szerokich mas.

„Ziemiaństwo Królestwa Polskiego, pojęte jako całość, bez względu ,na różnice społeczne powołane jest do dania nowych barw konserwatyzmowi polskiemu, który tu będzie miał zupełnie inne tło dla siebie niż w Galicji, gdzie powstał i w Księstwie, dokąd się następnie przeniósł".

Chodzi zatem o to, by stworzyć silną partję agrarno-konserwatywną, i oprzeć ją na ścisłej łączności wielkiego właściciela z drobnym, szlachcica z chłopem, zaś łączność tę należy rozumieć jako poddanie młodszego brata pod kuratelę starszego.

„Mam niezachwianą wiarę w instykty zachowawcze i pierwiastek arystokracji ducha ludu polskiego", pisze pan L. i dalej jeszcze: „Konserwatyzm chłopa polskiego jest najszlachetniejszego kruszcu". Wreszcie stwierdzając, że „kultura polska jest szlachecką" i z faktem tym liczyć się należy — pragnie tą szlachecką kulturą obdzielić i inne warstwy, lecz zastrzega się przed zmienianiem jej charakteru.

Środkiem do celu ma być oparcie rozwoju kółek rolniczych na bezinteresownej pracy ziemian w miejsce instruktorów, którzy ani wpływu szlachty nad chłopem umocnić nie mogą ani dla konserwatyzmu ogólno ziemiańskiego nie są dostateczną osłoną, oraz takie pokierowanie parcelacją, by większa własność nie znikała lecz konsolidowała się tworząc wśród masy drobnych gospodarstw placówki kultury szlacheckiej, strażnice, czuwające nad młodszą bracią i szańce odrodzonego konserwatyzmu.

Natchnienie do tego programu — czerpie pan Lut. — jak łatwo się domyśleć — z „Gazety warszawskiej". Oto bardzo znamienna i wiele mówiąca cytata, na którą się powołuje: „Bałamucone przez stulecia wielkiemi hasłami liberalnemi" ludy, zaczynają naprzód rozumieć potrzebę postawienia dobra całości narodowej ponad interesy i wolność jednostki, zaczynają napowrót cenić dobroczynny przymus społeczny, okazywać troskę o religję, przywiązanie do tradycji, obyczaj, rodzinę, silny rząd i t. p.

Tym sposobem „rosnący dziś wszędzie prąd narodowy, zwany często nacjonalizmem, podnosi na wielu punktkch sztandar, który żywioły reprezentujące dawniej konserwatyzm z rąk wypuściły".

Ponieważ u nas na brak „silnego rządu" i „przymusu społecznego" nikt nie ma powodu utyskiwać, ponieważ żywioły konserwatywne i nacjonalistyczne nie okazują najmniejszej chęci chwycenia w swoje ręce władzy rzeczywistej, gdyż narażałoby je to na walkę ze zbyt potężnym przeciwnikiem, mogą tedy marzyć jedynie o dalszem skrępowaniu interesów wolności jednostek (zaprawdę i dziś niezbyt swobodnie oddychających) w imię obrony tradycji, walki z „wielkiemi hasłami liberalnemi" i „zdrowia społecznego".

W pierwszym rzędzie naturalnie nastręcza się walka z ludowcami „i ich dążeniem do bezwzględnej emancypacji ludu", — co jest istotnie bardzo rażącem odstępstwem od tradycji. Chłop postępowy jest dla tych panów jakimś monstrualnem zjawiskiem; ideałem zaś te stosunki wielkopolskie, gdzie postęp tolerowany jest tylko o tyle, o ile dochód z morgi podnosi, zaś niedopuszczalny w duchowem życiu chaty i dworu zarówno.

Polityka agrarna, zmierzająca do śrubowania cen ziemi i jej produktów, ma stanowić naturalny łącznik drobnych i wielkich ziemian; do tego zaś należy dodać łącznik drugi, wspólną ideologję szlachty i chłopów, wiarę w to, że patryjotyzm zasadza się na dobrych interesach, a gdzie są panowie, tam jest sztandar narodowy.

Wiemy jak daleko — zaprowadziły chłopów poznańskich te hasłaa. Polski lud na równi z polską szlachtą składa tam oferty Komisji Kolonizacyjnej i wślad za nią poszedł aż na obiad cesarski do zamku w Poznaniu.

Konserwatyzm chłopski i konserwatyzm szlachecki u nas nie są materjałem, z któregoby jakąś poważną budowę wznieść można. Pierwszy rodzi się z ciemnoty — drugi z lenistwa; oba są równie bezmyślne i bezwładne.

Można je galwanizować, jak się galwanizuje rzeczy martwe; tworzyć z nich życia — niepodobna.

J. KADEN.

Kronika krakowska.

KRAKOWSKI NARCIARZ.

Wyjrzałem przez okno.

Na podwórzu głęboki śnieg białym, serdecznym całunem rozpostarty.

Jeno wokoło umarłego klombu czernią się rzadkie słupki ogrodzenia.

W mroźnem, roziskrzonem od szronu powietrzu podobne są do jakichś fantastycznych mnichów karlików, co oto przystanęli na chwilę, — zaraz znów ruszą w tan, — co oto nagłą rażeni myślą — na chwilę przystanęli i oddają się zadumie o rzeczach wiecznych.

A w prawo i w lewo, studnia okrutna, wysoka, ze ścian piętrowych studnia kamienna.

Cicho. Wiatr wysokimi dyszkanty nuci tęskną kolendę w kominie, małe czarne karliki stanęły kręgiem i czekają... Szron błyska...

Aż oto zjawia się na ścieżcc malutki chłopczyk. Bieży tam i z powrotem od drzwi stróża przez całe podwórze do bramy. Bieży tam na prawej, z powrotem na lewej nodze, to jedną to drugą sobie pomaga.. To ta, to tamta wyszukanej używa rozkoszy, mknąc — na długiej wąskiej narcie...

Chłopczyk sinemi dłońmi trzyma równowagę. Rozwiera do lotu ramiona, niby chudziutkie nieopierzone skrzydła, do lotu ogromnego...

Może na tej narcie bieży aż na Kopiec Kościuszki, albo na Babią górę, albo z Krakowa na Giewont... albo z tego podwórza aż na sam koniec świata...

Narta czarna, przykrótka, ciężka, z zadartym złowrogo, jak dziób, szpicem, wymyka się z pod podeszwy, nieużytą, czarną kreską przekreśla biały szlak ścieżki, kładzie się w poprzek, staje dęba i znów upada.

Lecz chłopak nie czeka, nie pyta i nie zraża się.

Oto znów ustawił swą nartę, — szarą chuściną matczyną, na piersiach związaną, przyklepał, portczęta, aż sznurki zgrzytnęły podciągnął ku górze dla fantazji — i jedzie... Jedzie na tej narcie, która jest przecie starym na śmietnik rzuconym pogrzebaczem...

Jedzie tam i napowrót, sinymi dłońmi w złocistym, ametystowym powietrzu wiosłuje, — frenzle chusciny matczynej srebrzone szronem, lśnią jak djamenty...

Jedzie, jedną nogą tak bardzo szybko i sprawnie na narcie, — drugą powoli, w zadużym bucie przyczłapując. Bieży coraz dalej i dalej na czarnej przedziwnej łyżwie, policzki mu się barwią jak rajskie jabłuszka, policzki mu kwitną rumieńcami, jak kwiaty...

W prawo i w lewo studnia okrutna, wysoko, ze ścian piętrowych, studnia kamienna. W załamach jej, niby garść puchu przewija się, przefruwa garsteczka szronu, śniegu — kryształowy proch zimy...

KRAKÓW NA TRZECH KRÓLI.

Śnieg tnie z ukosa, że mi się cały Rynek widzi, — niby oglądany przez białą drobną kratę, przez śnieżną drobną kratkę cudownej bajki.

Nizko, niziutko poodal śpiżowego Mickiewicza, na tych kamykach okrągłych, jak bocheneczki, rozsiadły się za straganami kraśne od mrozu babiny.

Stragany, rzekłbyś łodzie, czy czółna prastare toną w śniegu, szary parasol, niczem maszt, gnie się wygina i powiewa.

Stary czas, odległy czas zwiał tu na szczerbate kamienie rynku przedziwną flotyllę... Płynie ona z dziedziny zamierzchłych wspomnień i wierzeń... Z mroków tego świata najdawniejszych szanowna dłoń ludu niesie wam garsteczkę czasu, szczyptę wonności...

Wonność ona spoczywa zamknięta, niby w maciuchnej trumience w malutkiem, drewnianem pudełeczku.

Obejrzyjcie: amarant je powleka świeży, jak tęga, jędrna krew.

Zaiste lepkie jest i lgną doń palce.

Gdzieś na wsi wiejski cudak-niedorodek usiał gwiazdami tło, — gwiazdy białe, niebieskie, żółte, jak jaskry jak bławatki, jak oczy, — odwieczny czar rodzinnego łanu śniące... Podstawa malusiej skrzyneczki zdobiona białą koronką deseniu — a wierzch!

Na wierzchu gloria uroczystości i święto: w modrej ramie, jasnym pnączem rysunku obwiedzionej, złoty okrawek nieba z przedziwnym kwiatem w pośrodku. Przegina się ów kwiat pąsowy i biały zgibami najwdzięczniejszymi w prawo i w lewo, jak krzyż czterem stronom świata błogosławi.

Śnieg tnie z ukosa, że mi się cały Rynek ukazuje przez białą śnieżną kratę. I niby we mgle mroźnej, czy w bajki powiewach, widzę, jak baba krakowska za drobne centy oddaje mieszczanom pąsowe cacko, usiane gwiazdeczkami, kwiatem we złocie błyszczące.

Widzę, jak wiejska baba. za krągłe centy spierzchłą ręką wtyka przechodniom w dłonie coś tak pięknego — pełno jałowca i kadzidła — coś... jakby wierzące, świetną krwią zczerwienione, serce Wsi polskiej...

CZESŁAW JANKOWSKI.

Osaczeni.

Z CYKLU: «WSKAZANIA».

III.

Od północy, powiedzmy od Bałtyku, żywioł polski gnany jest precz z odwiecznych siedzib swoich przez *ruch narodowy litewski*. Gnany jest precz dokąd? Za Bug! Za Niemen! — byle do „etnograficznej“ Polski, do „Korony“, skąd ongi po unji Horodelskiej wyszło mrowie „kolonistów“ polskich i rozsypało się po obszarach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego i, co za tem idzie, po rdzennej Litwie i Żmudzi.

Świeżej to daty napór spadły na polski stan posiadania, a już zdołał w gwałtowności swojej prawie że dorównać kampanji — rusińskiej. Prawda, że lud wiejski litewski nie podziela — jeszcze! — uczuć, żywionych przez prowodyrów ruchu litewskiego, bo wiejski lud litewski, to lud z natury łagodny, bogobojny, zżyty z „panami“ polskimi nie od dziś i nie od wczoraj. Ale cały „narodowy“ ruch litewski zaprawiony jest obficie pierwiastkami socjalnymi; stoi on niemal całkowicie na gruncie walki klasowej ubogiego włościaństwa z zamożnem polskiem, szlacheckiem ziemiaństwem. Pod pokrywką okazałego hasła „kulturalnego odrodzenia się“ narodu litewskiego i dojścia do hegemonji u siebie w domu, nurtują z cicha i wichrzą i rozpalają namiętności bardzo pospolite hasła: niemasz nic, odbierz to, co posiada ten, który ci swego mienia oddać nie chce! W tym zaś wypadku owo mienie, to — ziemia. Wprawdzie przewódcy ruchu litewskiego żądają, aby spolonizowane rody polskie, siedzące na Litwie etnograficznej z dziada pradziada, jak np. Medekszowie, Giedgowtowie, Skirmuntowie, Jurahowie, Dowgirdowie, Dymszowie etc., aż do Radziwiłłów włącznie wróciły na łono narodowości litewskiej, ale szowinistom litewskim o tę kwestję... formalną bynajmniej głównie nie chodzi.

Chodzi im głównie, a niemal jedynie, o to, aby wyniosło się z Litwy etnograficznej całe ziemiaństwo polskie, rozparcelowawszy majątki swoje między włościan-litwinów.

Innemi słowy... wywłaszczenie! Jeżeli nie dobrowolne, to przymusowe. Niewiele brakło do rzucenia w 1905 i 1906 r. mas włościańskich litewskich na dwory i majątki polskie. Jeżeliby t. zw. „rewolucja“ potrwała dłużej i rozpaliła się na podobieństwo rzekomo „narodowego“ a w gruncie rzeczy radykalnie-socjalistycznego ruchu łotewskiego, spotkałby dwory polskie los baronowskich, niemieckich siedzib w Kurlandji i Liflandji. Lud wiejski litewski okazał się oporniejszym na poduszczania i pokusy, no, i krótkość czasu stanęła na zawadzie, że się nie stało zadość ziemiaństwa zagładzie... ale ruch litewski, osłonięty legalnemi hasłami odradzania narodowej, własnej kultury kilkomiljonowego narodu, któremu niepozwolili (!) własnego oblicza ukazywać światu głównie ... Polacy (!) — ale ten ruch litewski nieprzestaje urabiać mas włościańskich oraz pseudo-inteligencji litewskiej po miastach. Urabiać w duchu: nienawiści względem żywiołu polskiego i wszelkiej polskości, nienawiści silnie zaprawionej: zawiścią oraz łakomieniem się na polski *materjalny* stan posiadania.

I wobec naporu tego ruchu jesteśmy tak dobrze jak bezbronni. Wszelkie perswazje, odwoływania się do elementarnego poczucia sprawiedliwości, a tembardziej apelowanie do.. tradycji unji Horodelskiej lub Lubelskiej, do polsko-litewskiej wspólnej doli i niedoli *państwowej* przez lat tyle, wszystko to żadnej mocy niema nad upartą, z rozmysłu głuchą i ślepą akcją, prowadzoną, przyznać trzeba, z wytężoną zaciętością i — ofiarnością. Wszelkie z Litwinami „układy“ porozbijały się, nie doprowadziwszy do żadnego pozytywnego wyniku. Po kościołach w parafjach o mieszanej ludności dochodziło tu i owdzie do rozpraw na pięście i kije. Na tej drodze nie iść przecie dalej ani nie szukać rozwiązania „kwestji litewskiej“! Boże, strzeż Wilno, Kowno lub Sejny od bójek — ulicznych! Gęsto na czołowej linji ruchu litewskiego stoją księża, ciż sami chłopi litewscy, którym seminarja nie wpoiły kapłańskiego ducha a w których obcowanie z „panami“ rozpaliło zawiść i apetyty na pański dobrobyt. Łatwo sobie wyobrazić jak łatwą grę mają tacy księża wśród mas ludowych. To też wpływ ich jest duży a arogancka pewność siebie, nawet wobec władzy zwierzchniej duchownej — niezmierna. Na dobitkę, bardzo wpływowy dziś nacjonalizm rosyjski jawnie proteguje najwyuzdańsze nawet wybryki ruchu litewskiego, upatrując w owym ruchu bicz Boży na... żywioł polski na Litwie. *Divide et impera!* Prowodyrowie zaś ruchu litewskiego coraz wyraźniej, w najróżniejszych okazjach uciekają się pod opiekę nacjonalistycznej biurokracji, zanoszą „urzędowe“ skargi na ucisk (!) Polaków, wysyłają deputacje do Petersburga, słowem coraz częściej szukają oparcia na *sile* państwa w walce z żywiołem polskim i „polskością“ wogóle. Rząd zaś dlaczegoż by niemiał poskramiać „polskości“ zadenuncjowanej mu to tu, to owdzie przez Litwinów poszukujących...

sprawiedliwości? Dlaczegóż by nie oczyścić z „polskości" np. Wilna! Dlaczegoż by nie? Można. Niech będzie — jak chcą Litwini — oczyszczone z „polskości"; niech będzie kraj cały z „polskości" oczyszczony! Czy się potem pozwoli aby kraj stał się *litewskim*... a, to rzecz inna! Zaś Litwini nie sięgają myślą w przyszłość dalszą. Im chodzi jedynie o to, aby co rychlej Polacy tchnąć nie mogli na Litwie — i wynieśli się.

Co potem będzie, to będzie.

Pozytywne rezultaty, osiągnięte dotąd przez ruch litewski na Litwie etnograficznej t. j. w gubernjach kowieńskiej i suwalskiej, a po części wileńskiej i grodzieńskiej, nie są duże. Natomiast t. zw. ruch litewski zdążył już w mierze wcale pokaźnej zatruć życie polskim ziemianom, tkwiącym w majątkach swoich jak na „straconych placówkach" wśród rozhukanego morza litewskiej jednolitej ludności. No, i liczyć się trzeba z zawieszonym nad temi placówkami, jak miecz Damoklesa, *programem* litewskiego „renesansu". Sformułował go aż nadto dobitnie „kongres narodowy" litewski, odbyty w Wilnie w listopadzie 1905 roku. Uchwalono wówczas przecie poczytywać za *przybyszów* wszystkich nie-Litwinów, osiadłych na terytorjum Litwy etnograficznej, obejmującej gubernje: wileńską, kowieńską i grodzieńską, (gdzie np. na półtora miljona mieszkańców jest zaledwie trzy tysiące rdzennych Litwinów!) oraz znaczną część gubernji kurlandzkiej i suwalskiej. Zaś komentatorowie uchwały „sejmu" oraz dzisiejsi najgorętsi pjonierowie zupełnego zlitwinizowania rzeczonego terytorjum głoszą bez ogródek, że „cała Litwa katolicka, bądź mówiąca po litewsku, bądź po białorusku, bądź po polsku należy do jednego szczepu, do jednego narodu litewskiego" i że wszystkim zamieszkującym Litwę, katolickim żywiołom należy — chcą czy nie chcą! — *przywrócić* rzeczywisty ich język ojczysty, to jest — litewski.

I — Białorusinom? Do których etnograficznie należy znakomita większość np. guberni wileńskiej? Białorusinom też! Albowiem — według tłómaczenia litewskich patrjotów — Białorusini są niczem innem jak tylko.... zesłowiańszczonymi Litwinami!

I oto mamy zazębienie się kwestji litewskiej z kwestją białoruską, zazębienie się pozornie dla nas, Polaków, korzystne gdyż — przeciwstawiające wrogo żywioł litewski żywiołowi białoruskiemu. Juści, że antogonizm litewsko-białoruski istnieje tam, gdzie się obie narodowości stykają, gdzie pojedyńcze wioski litewskie tkwią jak wyspy na obszarach jednolitej ludności białoruskiej; juści, że tu i owdzie, np. w powiecie lidzkim gub. wileńskiej, antagonizm ten już rozpala się chwilami do rzetelnej nienawiści; juźci, że do starcia się z sobą narodowości litewskiej i białoruskiej prędzej lub później dojść musi, ale — zanim ogromne masy ludności białoruskiej zaczną brać się za bary ze znacznie słabszym liczebnie ale bardziej cywilizowanym narodem litewskim, zanim wreszcie „naród" białoruski posiędzie świadomość, że jest narodem, zanim to nastąpi, może samo dojrzewanie narodowej świadomości białoruskiej stać się potężnem ogniwem w obręczy, dławiącej polski stan posiadania.

Czy wolno już dziś mówić o „kwestji białoruskiej"? Niewątpliwie. Znajduje się dziś ona w fazie początkowej. Żywioł państwowy rosyjski, zanegowawszy istnienie odrębności narodowej białoruskiej, pragnie pod rosyjską kulturę i rosyjską ortodoksję wziąć cały, niemal 10-cio miljonowy, lud wiejski białoruski i wtopić go bez śladu w naród rosyjski t. j. wielkoruski. Tymczasem na całą zachodnią połać ludu białoruskiego wywiera silny wpływ, (nie: nacisk!) stykający się z nim bezpośrednio polonizm, wyraźmy się konkretniej: polski katolicyzm. Oczywiście, że jeżeliby żywioł polski był mocniejszy, niż jest obecnie, mogłaby być mowa o walce: kto „zagarnie" białorusinów, lub o tem, czy lud białoruski będzie zrusyfikowany albo też spolonizowany. Atoli mowy być nie może o takiej emulacji rosyjsko... polskiej. Natomiast wolno przypuszczać, że kwestja białoruska wejdzie pierwej lub później w okres drugi rozwoju a mianowicie skrystalizowania się świadomości narodowej. Nad przyspieszeniem nastania tego okresu pracują gorliwie, a nie od dziś i nie od wczoraj, działacze białoruscy, białoruscy patrjoci, rozpowszechniający hasło, że Białoruś (etnograficzna, obejmująca ogromne terytorja od wschoonich kresów gubernji mohylowskiej aż pod Białystok i od kresów północnych gubernji witebskiej aż po wołyńskie rubieże małoruskich dzielnic) że owa Białoruś nie powinna stać się łupem ani rusyfikacji ani polonizacji, jeno, że powinna być *białoruską* na podstawie kulturalnej, językowej i tradycyjnej (tak!) odrębności.

Rzeczą zaś jest łatwą do pojęcia, że sama już taka propaganda, żadnych przyjaznych sentymentów dla polskiego stanu posiadania na etnograficznej Białorusi — nie żywi.

Pozostaje mi jeszcze najogólniejszym rzutem oka objąć, dla pełności obrazu, kwestję rusińską oraz żydowską.

(C. d. n.)

ST. BRZOZOWSKI.

Książka — — o starej kobiecie.

(Z teki pośmiertnej).

9)

Justynki ze mną nie było i jakem zaczął mówić przy wychodzeniu, tak mi się język splątał, że nie mogłem sobie dać rady. Powiedziałem jakieś głupstwo w rodzaju, że oddałbym natychmiast swoje życie, byle on mógł nadal myśleć. Kochałem mocno Łagunę, robiło mi się zawsze lżej, gdym pomyślał, że on tam w swoim fotelu poobstawiany poduszkami dziwnym swoim łamiącym się głosem mówi, że o każdej porze dnia i nocy, gdy nie śpi, myśl jego, oblatuje ten kraj, jest wszędzie.

Polacy, wyście nie wiedzieli kto to był Łaguna! — To była wasza ambasada bezpłatna, ambasada w świecie ducha, to była wasza przednia straż. On był wszędzie, gdzie tylko człowiek nowoczesny zastanawiał się, tworzył, rozmyślał — on już tam był, już starał się odgadnąć i wracał do kraju z każdym takim łupem. Nie zwracano na to uwagi, wymawiano mu, że zawsze mówi o rzeczach nie na czasie. On miał jakieś swoje przeczucia odpływów i przypływów w świecie ducha: ja, kiedym przejrzał książki na stoliku nocnym Teofila, mogłem prorokować co będzie palącą kwestją niebawem w kulturalnej Europie — i przy tem wszystkiem ta niemożność oddarcia się. Ten człowiek umiał myśleć tylko w związku z Polską. Stąd nieporozumienia, bo on wmawiał, musiał wmawiać w półsenne społeczeństwo, że mają dla niego pierwszorzędne znaczenie wszystkie jego intelektualne pasje.

Ale tego dnia powiedziałem mu jakieś głupstwo i popłakaliśmy się, uściskaliśmy się, i on tak żałośnie spojrzał po rozłożonych książkach, że widać było, jak mu strasznie żal umierać.

„Świft" tam leżał w jakiemś nowem wydaniu, jakiś gruby tom o Campanelli i zbiór madrygalistów włoskich i barokowców XVII wieku. Gdyby go ktoś zapytał, dlaczego żal mu życia, byłby niewątpliwie odpowiedział, że „Świft" jest nadzwyczajny, że poza poezją Mariniego kryje się dziwna, trudna do ujęcia, ale fascynująca dusza, że mu tego wszystkiego żal, żal do płaczu.

Tak, Teofil był dzieckiem a nie zasłaniał się tylko szepleniem w tragicznych chwilach jak ten jego uczeń. On śmiał mi dziękować gestem wtedy, głębokim ukłonem za moje przywiązanie do Teofila. On tam był, i niedorzeczny Trencz; Emilja szyła coś w kąciku. Ulubiona wiewiórka Teofila skakała mu po plecach.

To było po raz ostatni i już niema Teofila Łaguny. Niema nigdzie, zasnął z tym swoim żalem o Mariniego, tęsknotą do bajek Gozziego, do Hoffmana i do fenomenologji Hegla, i do listów pani Du-Deffand i Walpole'a. (Jak on się śmiał, jak się pięknie cieszył, czytając jakieś facecje sowizdrzalskie Nowaczyńskiego).

Już go niema, nikt już nie zadziwi redaktora niemieckiego filozoficznego kwartalnika twierdzeniem, że Kurs Literatur Słowiańskich Mickiewicza dominuje nad całą dzisiejszą dyskusją nowoczesną w filozofji: od Jamesa po przez Myersa do Bergsona; od Newmana do Sorela i nacjonalistów. Labertonniere, Schiller— wszyscy oni, wszyscy mieliby się tu czegoś do nauczenia.

Nikt już nie będzie gorszył rodaków twierdzeniem, że brak zrozumienia u romantyków polskich dla Balzaca jest dowodem pewnego braku zaniedbania etycznego w ich rozwoju duchowym: estetycznego chyba — jąkał się nieszczęśliwy Zbrożek, — etycznego — powtarzał Teofil. Pamiętam jak on, bałwochwalca na punkcie Norwida, oburzał jednak ludzi, co go od tygodnia bodaj poznali, twierdzeniem, że z pewnego punktu widzenia Norwid jest tematem komicznym. Tego już nie zrobi nikt. On mnie irytował, ale teraz brak mi tych irytacji, chociaż Justynka twierdzi, że moje prace zyskały od czasu jego śmierci na jasności i istotnie trafiają one naszym czytelnikom coraz bardziej do przekonania, ale niema już Teofila i świat stał się, jak gdyby prostszym i mniej rzeczywistym.

Ówczesna rozmowa nasza wryła mi się w pamięć.

Mówiliśmy tylko — ja i on, ale głównie on, Aleksander milczał, a Trencz tylko parę razy się odezwał; było coś smutnego i ciężkiego między nami.

Mówiliśmy o jakiejś książce, która Chrystusa traktowała jako mit kosmiczny, dyskutowano z jej powodu wiele. — Teofil ironizował: a gdyby tak spróbować tego samego z Hamletem, tyle sporów toczono o jego znaczenie, Matlakowski nie mniej w to życia włożył, niż niejeden z innych świętych w ewangelję, tymczasem wszystko proste: Hamlet jest to kometa Halleya i nic więcej. Jakoś bardzo szybko przeszliśmy do całego szeregu zagadnień krytyki religijnej. Teofil mówił z dziwnemi zapadaniami zdań w bezładne urywkowe monosylaby, jak zawsze, gdy był szczególniej przejęty Ja jednak, powiedział w końcu, zastanawiam

się tylko nad jednem: gdybyśmy zadali sobie tego rodzaju pytanie: jak ma zbudować swą świadomość istota, która tworzy tak niebywały biologiczny eksperyment, jak nasza europejska historja, — czy nie znaleźlibyśmy takich mniej więcej postulatów. Niema i nie może być nic obojętnego w życiu człowieka, każde jego przeżycie, nawet to, które nie może mieć żadnego dostrzegalnego utylitarnego znaczenia, ma nieskończenie ważne znaczenie. Gatunkowe życie obejmuje życie każdej jednostki i jest wszechobecne — nieprawdaż? Gdy niema już żadnej możliwości celowego działania, gdy w świecie, jaki jest dla nas jedynym, niema różnicy już między takiem, lub innem postanowieniem — trzeba mieć, pomimo to, odwagę i wierzyć w możność tego, czego nie umiemy pomieścić w rzeczywistości.

Wreszcie każdej chwili możemy wyjść poza własną przeszłość, jak gdyby wznieść się ponad czas, i nie mając organów życia nowego; przeszłość nasza bowiem — to my jednak — to jak by z po za siebie tworzyć siebie nanowo, opierając się na tem, co nie istnieje. I na tem, powiedział całkiem już cicho, zasadza się wszystko. To, co nie istnieje dla nas jest zawsze bardziej życiem, niż wszystko istniejące — i w niem i z niego tworzymy my wszystko.

Byłbym nie słuchał nikogo innego, mówiącego tym stylem, ale z oczu Teofila widziało się, że on widział to źródło bijące po za istnieniem, ja sam doznawałem wrażenia, jakgdyby snuło się przede mną jakieś widzenie myślowe. Tak się widzi kształty przez zamknięte powieki. Mówiliśmy coś obojętniejszego — ja wspomniałem, że on temi swemi intuicjami zasila swą pracę analityczną, że dla niego to jest właśnie takie po za istnieniem źródło. Coś mu w tem zrobiło przykrość, chociaż nie mogłem się domyśleć; spytał mnie, tylko, czy dawno czytałem „Sartora Resartusa“ — powiedziałem, że nie czytałem go wcale.

Nie postąpiliśmy od tego czasu ani kroku, ani najdrobniejszego.

Carlyle, już nie pamiętam, czy po napisaniu Sartora, czy też dzieła o Francuzkiej Rewolucji miał widzenie, że jest całkiem sam beznadziejnie potępiony i że wszystko naokoło niego straciło wagę rzeczywistości.

— Mój Boże, mój Boże — o ileż on był uczciwszy!

— Od kogo, zapytałem z uśmiechem, pewny, że to się zaczyna jakaś paralela pełna rozmachu ognia i szyderstwa, ale Teofil się skurczył i poszarzał:

„Ode mnie, rzekł, od nas wszystkich“.

On sobie wszystko ułatwiał—bąknął Trencz.

C. d. n.

RABINDRANATH TAGORE. Spolszczył R. Zrębowicz.

Pieśni.

I.

Jesteś niebem i gniazdem. Ty piękny i wieczny —
Tam z gniazd swych twoja miłość przelewa w mą duszę
Wszystkie wonie upojne, dźwięki i kolory.
Oto rodzi się wieczór na samotnych łąkach,
Opuszczonych przez trzodę, ginącą gdzieś w dali, —
Znosząc od zachodniego oceanu ciszy
Chłodny powiew pokoju w swoich złotych muszlach.
Ale tam, gdzie się wieczne już rozpina niebo,
Dokąd dusze tak chyżo i z rozkoszą lecą — —
Tam tylko lśni się przestwór bez plam, przezroczysty;
Tam niema dnia, ni nocy, kształtu, ani barwy —
A ponad wszystko nigdy nigdy ludzkie słowo.

Przecz-że ci jest brzemieniem wesołość skrzydlata,
Gdy ginąć, iść w niepamięć, być jak ptak schwytanym,
Jest to wir nurtów naszej, pełnej trwóg radości?
Przecz każda rzecz prze naprzód, żadna się nie cofa,
Żadna się nie wstrzymuje w swym biegu potęga?
Nie bądź-że więc spóźnionym tonem w tej muzyce,
Co wygrywa nam przyszłość bez pauz odpoczynku.
Rodzi się i umiera korowód stuleci.
Barwy, dźwięki i wonie uchodzą kaskadą
Do skrzydlatej radości, tej hojnej szafarki,
Co zawsze nas obdarza i ciągle umiera.

Oto na morskim brzegu nieskończonych światów
Spotykają się dzieci. Ponad ich głowami
Zawieszone w bezruchu niebo — fale szumią.
Oto na morskim brzegu nieskończonych światów
Spotykają się dzieci w tańcu i wołaniach.
Budują domki z piasku, bawią się muszlami,
Z uwiędłego listowia wiją łódki drobne —
I z uśmiechem puszczają na bezdenne głębie;
Dzieci na morskim brzegu mają swe igraszki. —
Nie wiedzą co to pływać, jak się sieć zarzuca.
Poławiacze szukają pereł w głębiach morskich,
Na okrętach żeglują stroskani kupcowie—
Podczas gdy dziatwa zbiera kamyczki i muszle.
Nie zna ukrytych skarbów, ani sztuk połowu.
Morze urąga szałem, słabo połyskuje
Uśmiech trwożnych wybrzeży. Fale śmierć niosące
Opowiadają dzieciom niepojęte pieśni,
Jako matka, gdy do snu niemowlę kołysze.
Morze bawi się z dziećmi w szczęściu i swobodzie,
A uśmiechy wybrzeży słabo połyskują.
Oto na morskim brzegu nieskończonych światów
Spotykają się dzieci w tańcu i wołaniach.
Szaleją huragany w ogromnych przestworzach,
Na niezmierzonych wodach strzaskane okręty —
Toczą się blizko śmierci dziecięce igraszki.
Oto na morskim brzegu nieskończonych światów
Wielkie się rozłożyło boisko dla dzieci.

K. WROCZYNSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

Gdy „pierwsza scena polska“ zabiega około wystawiania drugorzędnych utworów, „druga scena“ — Teatr Polski, znów uczyniła olbrzymi krok naprzód w zakresie udostępniania pierwszorzędnych arcydzieł świata publiczności warszawskiej. Wystawiono oddawna zapowiadanego szakspirowego „Juljusza Cezara“ i uczyniono zeń istotne *clou* sezonu bieżącego a zarazem dotarto na najwyższy szczyt swej drogi dotychczasowej.

Od osoby stojącej na czele imprezy „Teatru Polskiego“, od dyrektora Arnolda Szyfmana usłyszałem przed niedawnym czasem takie credo: „idzie mi (cytuję naturalnie nie dosłowniej) nie o eksperymentowanie, nie o szukanie nowych dróg i stwarzanie prądów, lecz zbudowanie podstaw elementarnych, jakich nam brak obecnie, o wytworzenie prawdziwego serjo teatru stojącego na dobrym europejskim poziomie, teatru o maszynerji (zarówno osobowej jak rzeczowej) działającej sprawnie i solidnie“.

Przy dzisiejszym stanie zarówno teatrów jak i publiczności powyższemu programowi „pracy u podstaw“ nie można odmówić słuszności. Tandeta i szablon dekoracyjny, zanik harmonijnego skoordynowania czynników wewnętrznie teatralnych, przypadkowość repertuarowa przesycona starannem unikaniem wszelkich utworów t. z. „poważnych“, rozpanoszyła się niestety w teatrach naszych niepomiernie. Bezpośrednim rezultatem tego — niezmiernie nizki poziom kultury teatralnej wśród publiczności, deprawowanej systematycznie a uporczywie. Byle co, byle jak, przy warunku sine qua non ściągania publiki drogą najsłabszego oporu: figlem, spekulowaniem na sensację a bodaj nawet na pikanterję samowolnie wetkniętą w wystawienie. W takich warunkach teatr chcący stanąć na poziomie a właściwie nad poziomem musi zacząć ab ovo. To też czyni Teatr Polski.

Przyzwyczaja tedy widownię do *porządnej* a premedytacyjnej wystawy, z drugiej zaś strony, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że najlepsza wystawa nie okupi drugorzędnej sztuki i owszem, winna służyć pierwszorzędnym, systematycznie wprowadza do repertuaru szereg *podstawowych* arcydzieł dramaturgji, któreby powoli odkażały i uszlachetniały atmosferę i poziom dzisiejszych repertuarów. Teatr Polski robi to powoli krok za krokiem, ale stale. I o dziwo! utwory wielkiej miary, które ponoć nie mają nic wspólnego z powodzeniem „idą“, lepiej nawet niż intermezzowe „kasowe“ drugorzędne teatralja.

Atoli trzeba przyznać jedno jeszcze: dzieła wielkiej miary podaje „druga scena“ w sposób popularyzatorski, — w pigułkach jedynie dotychczas dla pnbliczności warszawskiej dostępnego, jedynie dotychczas zrozumiałego *naturalizowania,* podaje rozcieńczony nieco eliksir twórczy wielkich genjuszów sceny.

Miejmy nadzieję, że i dalsza część rozpoczętego procesu pójdzie równie pomyślnie, wierzmy, że publiczność zasmakowawszy w eliksirze zechce go z czasem w formie czystej, bezopłatkowej i w stuprocentowej jakości.

Powyższe uwagi wydają mi się nieodzowne dla dokładnej oceny tego „Juljusza Cezara“, którego nam dał Teatr Polski.

Z tego też punktu widzenia uznać trzeba że wystawienie sztuki stanęło na najwyższym poziomie celowych zamierzeń, że było ewenementem pierwszego stopnia.

Udostępniono Szekspira poziomowi publiki przez wystawienie utworu sposobem meiningeńskim, kładąc ogromny nacisk na malowniczą stronę dekoracyjną, wysuwając na front operowanie masami statystów, wydobywając możliwie dużo historycznej rodzajowości. Stworzono opowieść o tem, jak swego czasu w Rzymie zabito Cezara.

Opowieść tę podano w formie działającej na belletrystyczną odtwórczość publiczności. Nie wątpię też, że w formie tej „Cezar“ dzisiejszą Warszawę zainteresuje niepomiernie. Publiczność premjerowa przyzwyczajona już do dekoracyjnego przepychu „drugiej sceny“ była mimo to olśniona choćby takim Forum acz naturalizm tego obrazu przechodził już w stadjum wyższe, — w wizyjność malarską. Imponująco również wypadły sceny zbiorowe: zabójstwa w senacie i demagogicznych przemówień Brutusu i Antonjusza wobec motłochu „kwirytów“.

Nie chcę w niniejszym zarysie podkreślać słabych punktów wystawy wypływających z wad samego stylu meiningeńczyków (mówię o odsłonie pierwszej i dziewiątej), gdyż wady te jeszcze byłyby zaletami w teatrach innych. Toż rzec można i o grze aktorów, która naogół była bardzo wysokiej miary, zwłaszcza, iż rdzeń trupy składa się z talentów już wybitnych, ale jeszcze młodych i tężejących.

Oddawszy jednak co jest teatralnego teatrowi i co jest nieubłaganie warszawskiego — Warszawie, niemniej przeto czuje się w obowiązku zwrócić co jest istotnie szekspirowskiego — Szekspirowi.

Wiem, że mądrość stanu dyrekcji uznała za najcelowsze dla Dzisiaj znaturalizować „Ce-

zara", zarówno jak orjentuję się w czasowej słuszności powyżej przytoczonych powodów tego postępku, wiem, że świeżo wystawiony „Cezar" to — Szekspir ad usum delphini, ale zupełnie nie wiem, czemu w pewnych recenzjach krytycznych czyni się z tej potrzeby cnotę, czemu premjerę Teatru Polskiego uważa się za najpełniejszy wyraz arcydzieła, czemu się bierze pars pro toto i naturalistyczną transfigurację sztuki uważa za samego „Cezara".

Najefektowniej udrapowana szata niewiele jeszcze mówi o pięknie skrytego pod nią torsu. Przechodząc od elastycznych porównań do ściślejszych orzeczeń, słyszałem, czytałem i sam czuję, że istota sztuk Szekspirowych nie w perypetjach fabuły tkwi, lecz w wewnętrznym dramacie bohaterów, nie ramy tedy perypetji główną rolę grają, lecz problematy psychy. Najbliżej tedy istoty utworu stać będzie taka inscenizacja, która, nie rozrywce oka gwoli, dekoracyjnem imitowaniem zewnętrznych naturalistycznych pozorów posłuży, lecz na jaw wydobyć się postara samego problematu głąb. Z tego zaś punktu nic po efektach pochodów tłumnych, nic po błyskotliwym naśladownictwie „historycznej" epoki. „Cezar" to węzeł: Kasjusz, Brutus, Antonjusz i Cezar (Oktawjan wreszcie) reszta jest pianą i „milczeniem". Spotęgowanie tego akordu kosztem feerycznego akompanjamentu zbędnych statystów i architektur, — oto droga dotarcia do istoty utworu. I to nie jest żadna „reforma", żadne nowatorstwo (oh! ci apostołowie-nowatorzy!) tylko prawieczna logika. Naturalnie, że przy takim sposobie wystawienia sztuki zaginą wszelkie momenty ciekawostkowe, odpadnie wszystko, co „bawi oko", zginie to, co jest tak miłą dla wielu rzeczą a nawet jedyną bodaj racją dzisiejszego teatru: rozrywka. Atoli trzeba sobie nareszcie raz na zawsze powiedzieć, że istotna

> *„sztuka nie jest rozrywką ani sposobem zadawalania tanich po dobrem trawieniu sentymentów, czy też upodobań do pieprznych, bezmyślnych żartów i do plotkarsko-pamfletowych aluzji. Sztuka ma na celu to, o czem myślał Michał Anioł, mówiąc: „Gdy czytam Homera, zdaje mi się, że na dwadzieścia stóp urastam w górę". To właśnie, to urastanie, to bezinteresowne obce wszystkim przemijającym doczesnym względom i okolicznościom, pogłębianie się i rozszerzanie wnętrzne jest najlepszym probierzem istności zarówno wrażenia estetycznego, jak i samego dzieła sztuki. Gdzie tego brak, tam o sztuce żadnej nie może być mowy. Ale takiego wewnętrznego urastania nie możemy sobie wyobrazić bez oderwania się od życia powierzchownego, bez jakiegoś zstąpienia ku głębszym warstwom swojej istoty.*
>
> *Dlatego teatr — świątynia sztuki, wymagającej silnego wewnętrznego skupienia, nie może być jednocześnie przybytkiem zabawy, rozrywki, polegającej właśnie na rozerwaniu umysłu, na pozbawieniu go wszelkiego skupienia, na wywołaniu — miłej może nawet niekiedy — indolencji i beztroskiego roztargnienia".*
>
> *Miriam „Pro arte".*

Jasne, że dla dzisiejszej warszawskiej publiczności, chciwie chłonącej li błyskotliwości opraw dekoracyjnych, dla publiczności szukającej w teatrze li pustej rozrywki, dla widowni śmiertelnie nudzącej się na każdej poważniejszej sztuce, o ile bije z niej naga głąb nie przykryta barwnymi efekty lub emocjonującemi wkładkami, dla publiczności wychowanej na farsie, — wypadnie długo jeszcze owijać powagę utworu w opłatek attrakcji statystujących „setek" tłumu i sztucznych deszczów, — ale czyż z tego wynika, że opłatek jest jedyną formą podawania sztuki i że trzeba go stosować zarówno do publiczności jak do krytyki?

A. S.

Skry.

Bywają ludzie tak bogaci w rzeczywistość, iż zaprzeczają wszystko, pewni, że i tak nie będą próżni. Sami bowiem bywają żywym twierdzeniem.

***

Znamieniem prawdziwej miłości bywa pewne przytępienie. Człowiek, póki nie postradał dowcipu, nie jest zakochany naprawdę. Najlepszym dowodem miłości, jaki człowiek wybitny może złożyć, bywa właśnie gadanie i pisanie błahostek do swej lubej. Jego rozmowy i jego listy wywierać będą wrażenie tym lepsze, im bardzięj będą podobne do słów i listów pierwszego lepszego dudka, chwyconego namiętnością, naprzykład — subjekta z masarni. Styl tylko może się różnić.

Niegdyś nienawidziłem Ludwiki Colet, która oskarżała Flauberta, że nie kocha jej wcale, ponieważ nie chce pisywać do niej zwykłych frazesów o wiecznej wierności, o niepodobieństwie życia bez niej, i t. d. — natomiast poprzestał wobec niej na subtelnym rozwijaniu myśli, iż znając sam siebie zbyt dobrze, nie chce narażać się na śmieszność przez dobrowolne, i dość nawet nizkie, łudzenie jej i siebie. Wydawało mi się wówczas, że Colet miała duszę pospolitą, ckliwą, niezdolną do przeniknięcia duszy człowieka wielkiego. Dziś doświadczenie mnie uczy, że miała ona, być może, słuszność.

***

M.-J. WALEWSKA.
(Hr. Wielopolska).

Nieco o jutrze krytyki.

2)

Dokoła «Kryjaków» i «Fauness».

Że krytyka staje się fałszywym mentorem dla początkujących autorów, miałam tego dowody na sobie samej, a że pro domo sua, przemawia człowiek najlepiej, więc przegląd zrobię krótki, jak się krytyka odniosła do mnie, początkującego autora.

Nie czynię tego w obronie własnej, ani z chęci pomszczenia się (?) na moich recenzentach, tylko dla udokumentowania spostrzeżeń moich nad procederem krytycznym polskim.

O „Kryjakach" pisano raczej pochlebnie, chwilami aż entuzjastycznie.

Oczywiście zahypnotyzowało panów krytyków imię przedmowcy mego, Żeromskiego, do tego stopnia że prawie choralnie uznano mnie za jego „uczennicę" (gdy recenzja była pochlebna) a za jego plagiatorkę i karykaturzystkę (gdy recenzja odsądzała mnie od czci i wiary). Znowu to charakterystyczne lecenie na czerwoną płachtę — bo, gdyby imię Żeromskiego nie figurowało na pierwszych kartach mojej książki, z pewnością podobieństwo moje z nim byłoby nie uderzyło panów krytyków, a w każdym razie uderzyło w znacznie zmniejszonym stopniu. Jeden Woroniecki rzekł krótko: „tych kilku żołnierzy ks. Brzózki posiada cechę bardzo znamienną, zasadniczo odrębną od ludzi Struga i Żeromskiego".

Pani Alina Świderska (Sarcey ze Słowa Polskiego) zaręcza słowem honoru że „gdyby nie było „Sułkowskiego" i „Wiernej Rzeki" na świecie, nie byłoby napewne i „Kryjaków". To samo mówi jej kolega „po wyznaniu" pan Jerzy Koller z Kroniki Powszechnej: „Kto przeczytał dokładnie trzy utwory Żeromskiego, a mianowicie cykl „Rozdziobią Nas Kruki", oraz powieści Dzieje Grzechu i Wierna Rzeka, ten nie spotka się u p. Wiel. ani z jednym oryginalnym motywem. Wszystko jest tutaj transpozycją elementów twórczych Żeromskiego, z nieodzownym attrybutem wszelkiego naśladownictwa: ich obniżeniem lub przejaskrawieniem rażącem. To też pod jego wpływem pióro pani Wiel. zdobywa się na sceny, nie tyle potężne, ile ohydne — na obrazy nie tyle groźne, co odpychające".... i t. d. A chcecie wiedzieć, mili czytelnicy, co w mniemaniu pana Kollera z Kroniki, było najbardziej „ohydnem" w moich Kryjakach?

Zaczynam książkę moją od słów: Znoili swoją ziemię krwią pracowicie. Pan Koller rozdziera szaty i woła: słyszeliście?! Ona przyrównuje krew bohaterów i męczenników polskiej sprawy do.... gnojówki, *(sic!)*. Jakże nie wyrzucić jej z ziemi ojczystej?! I dla tego przyrównania tylko, zniżył się pan Koller do mojej książki, bo inaczej jak sam mówi: „możnaby nad Kryjakami nie zastanawiać się wcale, zostawiając ich spokojnie obok Tajemnic Klasztoru Neapolitańskiego, czy nawet senzacyjnych, jasnogórskich".....

Pan Grzymała-Siedlecki nie chcąc się zaprzeć utartych metod polskiej krytyki „artystycznej" — podkładającej swoje inwencje własne pod słowa autora, tak jak się podkłada słowa pieśni pod muzykę — p. Grzymała Siedlecki zauważa, że trzeci rozdział moich Kryjaków, ten, który opowiada o tragicznym balu w Łomży i o straceniu Trauguta, ten, który jest szczytem ascetyzmu w owej wprost ascetycznej książce, że jest on „próbą pogodzenia tragedji styczniowej z żywiołem flirtowym" *(sic! Słowo* i *Czas).*

O pierwszej mojej książce Pani El nie pisano prawie wcale — mój Anioł Stróż tylko, pan Tadeusz Dąbrowski nadeptywał mi trochę na pięty, ale dość bezboleśnie i bezbarwnie. Prasa nasza, przeważnie klerykalna, stale próbuje zabijać milczeniem dzieła, zajeżdżające zbyt śmiało na jej podwórko. Zresztą było w Pani El dużo jeszcze grafomaństwa, jako że składały się na nią rzeczy pisane dawno, jak „Sęp" np. który pisałam mając lat 19. O Faunessach moich za to, rozpisywano się obszernie. Krytyka uderzyła przedewszystkiem w mój... hrabiowski tytuł. To był ów łuk, z którego najbardziej zatrute strzały leciały. A nie można tego uważać za wypadek sporadyczny, dla tej przyczyny, że mało utytułowanych dam staje u nas w szranki literackie, bo jeżeli nie chwyta się krytyka tytułu hrabskiego, w braku tegoż, to chwyta się jak wyżej wspomniałam, cudzoziemskiego brzmienia w nazwisku autora, lub „niechrzczoności" jego imienia, lub czegokolwiekbądź równie ważnego i równie krytykę artystyczną obchodzącego.

O tych długich recenzjach, moje „Fauuessy" omawiających — łaskawie lub niełaskawie, pisałam między innymi:

„W ostatnich dniach, jakiś mecenas Sztuki w Galicji, zachowujący ściśle incognito, ogłosił w gazetach konkurs na obraz treści dowolnej, przeznaczając nagrodę w kwocie 2000 koron i żądając aby malarz stający do konkursu, przysłał nietylko obraz, ale i... metrykę chrztu, jakoteż curiculum vitae.

Tych samych zasad trzyma się nasza krytyka literacka. Nie odróżnia osoby autora od jego książki i kładzie często daleko większy na-

cisk na jego pochodzenie, wyznanie i przebieg życia nawet, niż na treść i wartość jego dzieła. Kiedy autor ma nieszczęście należeć do warstwy „uprzywilejowanej“ i opisze tak jak widział pewne milieu, które się panom krytykom literackim pod wpływem suggestji zapewne, wydaje absolutnie arystokratycznem, chociażby to milieu było zupełnie niearystokratyczne (jak w moich Faunessach) wówczas z miejsca uderzają w tytuł szlachecki, czy hrabski, czy mandaryński autora, i zarzucają go gradem wymówek, że pozwolił sobie nietylko na należenie do warstwy próżniaczej „krwią chamów i niewolników“ utuczonej, ale że jeszcze tę warstwę opisuje „z całem kapłańskiem namaszczeniem“. I tak dalece zacietrzewia ich problem stosunku utytułowanego autora do nieutytułowanej rzeszy, że nie wchodzą ani w zasady autora najliberalniejsze, najczerwieńsze, głoszone w książce, ani w wartość, czy bezwartościowość tejże książki — tylko na koniku jednym jeżdzą, dokoła genealogicznego drzewa.

Wszystkie o moich „Faunessach“ recenzje, przeważnie dość dla mnie łaskawe, na jeden były nastrojone kamerton. Przeżuwano mianowicie problem: jakie miljony krzywd oddzielają sferę z której ja, sądząc po moim tytule pochodzę, od sfery moich czytelników (in spe). Mniejsza o wartość książki, lub jej bezwartościowość, mniejsza o moje osobiste zapatrywania, nad którymi właśnie warstwy „zwane eufonicznie wyższymi“ łamią ręce! mniejsza o dotychczasowe moje występy „czerwone“, za które denuncjuje mnie kler, a konfiskuje prokuratorja, jako niszczące społeczny, konserwatywny ład! mniejsza o moje współpracownictwo w pismach postępowych jak „*Krytyka*“ i nawet skrajnych jak „*Naprzód*“! Kładę tytuł hrabski pod mojem autorskiem nazwiskiem — jest to już dość, aby podejrzewać że wszystko jest pozą, co piszę niezgodnego ze staroszlachetczyzną, a wszystko umiłowaniem „warstw zwanych eufonicznie wyższymi“, gdy objektywnie lub najfantastyczniej snuję opowieść o ludziach, którzy w kopalniach węgla nie pracują, albo nie szyją butów o głodzie i chłodzie, albo nie wywracają strejkami miłego fabrykantom porządku, po rozmaitych piekłach wytwórczych.

Spotkawszy się raz wypadkowo, z tym światem internacjonalnym, próżniaczym, żyjącym jak dawne fauny w lesie swoich upodobań artystycznych, manii kolekcyonarskich — może być pustych zupełnie aspiracyi — słodkiego dolce far niente, na opinię się nie oglądając (co raz na zawsze wyeliminowuje go ze sfery arystokratycznej, gdzie ponad wszystkie bogi i bożątka, króluje Opinja!) ośmieliłam się go opisać na stronach 199.

Rozumiem, że nikt nie wpadł na to, iż tytuł hrabski, kładziony przezemnie obok autorskiego nazwiska, jest z mojej strony do pewnego stopnia łobuzerją, chęcią dokuczenia ludziom ze „sfery błękitnej“, którzy by woleli stokroć, zobaczyć siebie wraz z całą rodziną na katafalku, niż „porządne“ nazwisko na szpaltach dajmy na to „*Naprzodu*“. Że na to nikt nie wpadł. rozumiem, ale że żaden recenzent nie przeszedł do porządku dziennego nad faktem, iż podpisuję się tak jak się nazywam, po prostu, nic nie dodając, nic nie ujmując, (bo przecież każde nazwisko autorskie staje się znanem z czasem, chociażby je pokrywały całuny pseudonimów i nom de guerrów) — że żaden z panów recenzentów nie dostrzegł, iż między mną, autorem objawiającym aż nazbyt hałaśliwie swoje przekonania, a tym światem „Fauness“, jest taka sama przestrzeń, jak między światem „Fauness“, a istotną arystokracją — to już jest błędem niezrozumiałym, acz chronicznym i organicznym naszej krytyki literackiej.

Nie kąpię się w klejnotach i koronkach, nie czyszczę bucików humerałami z XV wieku, ani paznokci strzępami średniowiecznych czapraków, żadnej pokojówce głowy nie ścięłam za to, że nie wiedziała z ilu pałek się składa moja hrabska — ba! gorzej! bo erbgrafowska — korona, ale ośmieliłam się zainteresować światem, raz na brzegu morza spotykanym — zainteresować tą arystokratyczną doprawdy stroną mojej duszy, nie tą feudalną, zarzucaną mi opacznie, wzgardzającą tłumem, który „koszul nie ma po tysiąc franków sztuka“.

Typu moich „Fauness“ nie dostrzegłam jeszcze w beletrystyce polskiej, mimo że p. Tadeusz Dąbrowski dopatruje się podobieństwa między mną, a panem Makuszyńskim. *(Gazeta Wieczorna* 11. 8. 913.) Myślę że między kawiarnianą baliwerną p. Kornela Makuszyńskiego, która się może zapowiadała jako dowcipna „francuzka nowość“, skończyła zaś na feljetonowych przelewkach z pustego w próżne — a książką niezasadzającą się na sprzedawaniu logiki, sensu i dobrego smaku za tani dowcip, nie ma pomostu żadnego. Pomost widziany przez pana Dąbrowskiego, jest tylko złośliwem, chwilowem złudzeniem optycznym, a przekonanie moje nie jest mylnym, że polska beletrystyka nie posiada jeszcze typu „Fauness“.

(C. d. n).

Książki nadesłane do Redakcji.

Kazimierz Tetmajer. «Koniec Epopei». tom III. Warszawa 1914. Nakładem i druk. tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. E. Wende i Spółka, str. 211.

Władysław St. Reymont. «Rok 1794. Ostatni sejm Rzeczypospolitej». powieść historyczna. Warszawa 1914. r. Nakładem Gebethnera i Wolffa, str. 468.

Włodzimierz Perzyński. «Dzieje Józefa». powieść. Warszawa 1914 r. Nakładem Gebethnera i Wolffa, str. 213.

Alfred Konar. «Młodość panny Mani». Powieść. Warszawa 1914 r. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszaw. pracowników księgarskich. Skład główny: Gebethner i Wolff, str. 423.

Alfons Dzięciołowski. «Poezje». Kraków 1913 r. Skład gł. G. Gebethner i S-ka str. 90.

Aleksander Ular. «Żółta fala». romans na tle walki rasowej. Tłóm. Br. Neufeldówna. Nakł. i druk tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. E. Wende i Spółka. Warszawa 1914 r. str. 471.

Zenon Przesmycki (Miriam). «Pro arte». Uwagi o sztuce i kulturze: Nieco z obyczajów. Teatry, Kabarety, Muzyka, Literatura, Sztuki plastyczne, Miejskie muzeum sztuki. Warszawa 1914 r. Nakł. i druk. tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. E. Wende i Spółka, str. 608.

Ofiary.

Na pomoc studentowi rb. 30 i

Do rozporządzenia W. P. A. Osuchowskiego rb. 80 kop. 50

od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

Lud. Wasilewski rb. 15, T. Jabłkowski rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, S. Prauss rb 5, J. Rzewnicki rb. 6, L. Gorazdowski rb. 6, S. Poradowski rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, I. Tomaszewski rb. 3, S. Pilarski rb. 4, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1. S. Szczawiński rb. 2, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, R. Świetliński rb. 1, W. Popiel kop. 50, A. Heppen rb. 1, S. Słojewski kop. 50, B. Świetłowski rb. 1, S. Klingenberg rb. 6, K. Prauss rb. 1, S. Halsm rb. 1, i K. Kolberg rb. 15. Ogółem rb. 110 kop. 50.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 2-ej do 3-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

OGŁOSZENIA

po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Zdumiewające pomyślne wyniki przy leczeniu zasłabnięć nerwowych.

Niewielu ludzi zna istotną przyczynę swych cierpień, nie każdy zaś wie, iż wszelkie męczarnie powstają na gruncie osłabienia lub rozstroju systemu nerwowego. System nerwowy składa się głównie z mózgu i mlecza pacierzowego, z których z kolei rozgałęziają się po całym organizmie włókna nerwowe, tak iż mózg i mlecz pacierzowy stanowią ośrodki całego systemu nerwowego. Istotnej zatem przyczyny choroby szukać należy nie w dotkniętem nią miejscu organizmu, lecz w centrum systemu nerwowego. Objawy tego rodzaju zasłabnięć są najrozmaitsze, mianowicie: bóle głowy, drgawki, bóle krzyża, twarzy, gardła, stawów, ćmienie w oczach, bicie serca, bezsenność, ciężkie sny i zmory senne, zawroty głowy, niepokój, tętnienie w żyłach, odpływ krwi z członków, drżenie rąk i kolan przy najlżejszym wzruszeniu, szum w uszach, niemoc płciowa, lękliwość, pijaństwo i inne. Głównymi sprawcami chorób nerwowych są: przemęczenie lub nieprawidłowe odżywianie systemu nerwowego. Do usunięcia tych przyczyn istnieją dwie drogi: bezwzględny spokój lub też wzmocnienie nerwów za pomocą materjałów odżywczych. Najradykalniejszem byłoby korzystanie zarówno z jednej drogi, jak i z drugiej, lecz rzadko się to komuś udaje. Brom, kawa, alkohol i t. p.—tylko chwilowo uspakajają lub podniecają nerwy, zaś przy dłuższem używaniu więcej przynoszą szkody, niźli pożytku. Do prawidłowego rozwoju wątłej roślinki i dla uczynienia jej płodną — jest rzeczą niezbędną — dostarczenie jej gleby, użyźnionej odpowiedniemi materjałami, tak ma się rzecz i z nerwami. Najlepszym pokarmem do odżywiania ich jest— dostarczenie znacznej ilości odpowiednich materjałów. Materjały te nie są niczem innem, jak fosforokwaśnemi związkami organicznymi, z których powiodło się d-rowi Hartmanowi tworzyć preparat odżywczy, Kordjalinę, w dogodnej do przyjmowania postaci.

O tem, że środek ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, wzmacniania nerwów bez pobudzenia tychże, świadczy mnóstwo głosów dziękczynnych zarówno ze strony lekarzy jak i osób, które się przekonały o jego skuteczności. Jakiego zdania o naszym środku są lekarze świadczy o tem list, nadesłany nam z klasztoru Karmelitów św. Piotra: „Prosimy o nadesłanie nam jeszcze 6 pudełek „Kordjaliny“, gdyż lekarz nasz domowy środek ten bardzo chwali i zaleca dalsze używanie go“.

Tysiące tej treści odezw zmusiły nas do wydania całej książki, w najwyższym stopniu interesującej wszystkich cierpiących na nerwy. Proponujemy W. P. wypróbowanie środka naszego zupełnie bezpłatnie, jedynie przez powołanie się na niniejszy artykuł. Na zapytanie W. P. kartą pocztową wyślemy bezpłatnie pudełko próbne tego leczniczego środka, prosimy jedynie o podanie adresu swego wyraźnie. Należy pisać bez najmniejszej zwłoki, gdyż wyczerpanie nerwowe może pociągnąć za sobą bardzo poważne powikłania — pod adresem: D-r K. Hartman, № 736, St. Petersburg, Wozniesienskij Prospekt № 57.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.
Druk L. Boguslawskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.